

Jak pomagać, żeby się nie wypalić. Pomysł na pomoc z głową to patronat społeczny

Monika Redzisz

36–47 minut

Przy świdnickim rynku, w Miejskim Centrum Wspierania Inicjatyw Pozarządowych, działa kawiarenka międzykulturowa dla seniorów. Warsztaty wspólnego śpiewania, zagadnienia prawne istotne dla seniorów, warsztaty z pielęgnacji włosów, spotkania świąteczne, wykłady na temat poczucia swojej wartości. Wstęp wolny.

Pomysł narodził się na lokalnym Uniwersytecie Trzeciego Wieku, a podchwyciła go fundacja Ładne Historie, która w Świdnicy i Wrocławiu angażuje mieszkańców w procesy związane z kulturą, edukacją i tożsamością lokalną. Właśnie zaczęła się wojna w Ukrainie, do Polski napływały tysiące uchodźców; chodziło o to, żeby stworzyć miejsce, do którego można będzie zapraszać seniorki i seniorów z Ukrainy – wypić z nimi kawę, posłuchać ich historii i choć trochę złagodzić ich poczucie samotności i wyobcowania.

– Przychodziły same kobiety – mówi Jola Mieszkalska, świdniczanka, emerytka, studentka UTW. – Podchodziłam do nich, witałam je, mówiłam, że miło mi je widzieć, pytałam, jak się czują. A one natychmiast zaczynały płakać. Więc po prostu je przytulałam. Ja lubię tulić.

To na jednym ze spotkań w kawiarence dziewczyny z fundacji Ładne Historie ogłosiły nabór do projektu Pathways International: patronatu społecznego. Jego pilotaż w Polsce prowadzi partnerstwo organizacji: Towarzystwo Inicjatyw Twórczych „ę”, Polskie Forum Migracyjne, stowarzyszenie Homo Faber, stowarzyszenie Nomada i Klub Inteligencji Katolickiej. Patronat społeczny (community sponsorship) to działająca w wielu krajach już od lat 70. ścieżka migracyjna uruchamiana przez kraje zapraszające do siebie jakąś grupę uchodźców. Jej częścią są działania integracyjne służące przyjęciu nowych mieszkańców przez lokalną społeczność. Współcześnie programem objętych jest około miliona osób na całym świecie, zarówno w krajach rządzonych przez partie lewicowe, centrowe, jak i prawicowe. Bo żaden rząd nie jest w stanie odpowiedzieć na wszystkie potrzeby przybyszy; dlatego dobrze jest, jeśli we wsparcie mogą zaangażować się obywatele i obywatelki.

– Nie jest to jednak taka spontaniczna pomoc, jakiej udzieliliśmy,

przyjmując uchodźców z Ukrainy. To pokazało wielkie zasoby naszego społeczeństwa, ale wiele osób zrobiło to zbyt dużym kosztem – mówi Marta Białek-Graczyk, prezeska Towarzystwa Inicjatyw Twórczych „ę”. Pytanie, jak pomóc, żeby się nie wypalić?

Model integracyjny patronatu społecznego jest wyjątkowy. To pomysł na pomoc z głową, w ramach lokalnej społeczności, razem z lokalnymi instytucjami.

Wolontariusze, nazywani tutaj patronami, nie są w tym sami. Działają razem z innymi, w małych grupach, budując swoim podopiecznym lokalną sieć wsparcia. Koordynatorami są organizacje lokalne: fundacje, stowarzyszenia, biblioteki.

Z propozycją współpracy przy pilotażu projektu zwrócili się do fundacji Ładne Historie ze Świdnicy i stowarzyszenia Multi.Art z Kalisza.

PATRONKA JOLA I PATRON PIOTR

– Od razu się zgłosiłam – mówi Jola. – Lubię dzielić się tym, co mam. Mnie nie ubędzie, a im bardzo się przyda.

Jola ze swoim partnerem Piotrem Bolkiem, a także trzema patronkami: Beatą Kuzerą, Nataszą Polkh i Elżbietą Mościcką, znaleźli się w pięcioosobowym zespole, który przez sześć miesięcy wspierał Irynę.

Iryna Poida jest emerytowaną lekarką, pediatrą z Nikopola – miasta położonego 8 kilometrów od elektrowni zaporoskiej. Ma tylko kota. Rodzice nie żyją, siostra mieszka w Rosji i nie chce jej znać, mąż, wojskowy, zginął dwa lata temu na froncie. Polskiego nauczyła się sama, z filmików w internecie.

– Jak tylko zobaczyłam Jolę, od razu coś kliknęło między nami. Czuję się tak, jakbyśmy znały się od lat – opowiada. – To ona znalazła mi pierwszą pracę – zaopiekowałam się jej sąsiadem, panem po dziewięćdziesiątce. Jak kończyłam, zabierała mnie do siebie, piętro wyżej. Myślę, że trochę się o mnie bała, bo byłam w takim dość przybitym stanie.

Każdy robił to, co mógł, na czym lepiej się znał. Beata skupiła się na tym, gdzie i na jakich warunkach Iryna, która wciąż mieszka w ośrodku dla uchodźców, mogłaby szukać mieszkania. Piotr woził ją do Wrocławia: na egzamin państwowy z polskiego, na zabiegi lekarskie.

– Udało się jej znaleźć pracę w MOPS-ie, gdzie opiekuje się starszymi osobami, więc miała już ubezpieczenie. Ale długo mi zajęło namówienie jej, żeby poszła do lekarza – opowiada Jola. – Okazało się, że ma zaciemę i problemy z sercem – musiała przejść operację – najpierw serca, potem oczu. Udało się zorganizować szybko zabieg. My możemy liczyć na ludzi. Rzucimy hasło, i czy to szwagier, czy siostry, czy koleżanki – zawsze ktoś pomoże. A ona była tu zupełnie sama. Dziś jesteśmy już przyjaciółmi. Spędzamy

razem święta. Przyjęliśmy ją do naszej rodziny.



Jola Mieszkalska i Iryna Poida
Fot. Monika Redzisz

– Dlaczego zgłosiliście się do patronatu? – pytam Jolę i Piotra. Jola:

Bo sami byliśmy imigrantami. Wyjechałam do Niemiec w 2001 roku; byłam przeciwna, ale zostałam przegłosowana przez męża i trójkę naszych dzieci. Wydawało mi się na początku, że jestem człowiekiem drugiej kategorii. Ale zawsze znalazł się ktoś, kto mi mówił: „Będzie dobrze! Jest chór w kościele, może się zapiszesz?” I wtedy coś mi się w głowie otwierało.

Piotr: Wyjechałem z Polski w 1987 roku. Z wykształcenia jestem elektrykiem, większość życia przepracowałem w dużych niemieckich firmach. Bardzo mi pomogła na początku pewna niemiecka rodzina.

Jola: Myślę sobie, że jak ktoś to przeżył, to rozumie, jakie to trudne. Później, jak widzi niedolę, ma więcej chęci pomocy. Mamy dług wdzięczności; teraz chcemy go spłacić.

Myśmy się tam poznali. Najpierw poznałam żonę Piotra, zaprzyjaźniłyśmy się, zaczęliśmy u siebie bywać. Kiedy miałam 48 lat, zdecydowałam się na rozwód, Piotr bardzo mi w tym czasie pomógł. Z kolei ja wspierałam go podczas choroby jego żony, a potem po jej śmierci. Aż w końcu zostaliśmy parą i razem wróciliśmy do kraju. Nasze dzieci, już dorosłe, zostały tam, tam mamy wnuki. A my – czas dla siebie! Zaraz po przyjeździe zaczęliśmy się bawić: a to Uniwersytet Trzeciego Wieku, a to taniec, a to śpiew, a to wycieczki. Moje życie zaczęło się po pięćdziesiątce! Żyję szybciej, mocniej, intensywniej.

Piotr: Poza tym – ciekawe jest poznawanie ludzi z innego kraju,

innej kultury. To ubogaca. Mój ojciec, który spędził wiele lat na [emigracji](#) we Francji, zawsze mi powtarzał, że nic w życiu tyle mu nie dało, co możliwość czerpania z dwóch kultur.

Jola: Przekazujemy im dobrą energię, dodajemy odwagi. I to działa. Oczywiście czasem bywa to obciążające. Mnie najbardziej boli niemoc: że czegoś nie mogę, że nie potrafię. „Głową muru nie przebijesz” – mówi mi Piotr. Ale ja bym chciała.

GEN POMAGANIA

– Ja zawsze pomagałam. Jak mówi mój znajomy: „To taki gen – tego się nie wydłubie”. Sprawia mi to dużą frajdę, jak widzę, że to, co robię, przynosi komuś radość. Poza tym wolę, jak się dużo dzieje. To mi daje większy zastrzyk energii niż siedzenie w domu. Jak był moment przestoju w naszej fundacji, nie było żadnej pomocy humanitarnej, żadnej akcji, żadnej zbiórki – bardzo to na mnie podziało depresyjnie. Człowiek siada na kanapie i później ciężko z tej kanapy wstać – mówi Natalia Sztandera, absolwentka pedagogiki z resocjalizacją i pedagogiki pracy z doradztwem zawodowym, pracuje w agencji pracy. Trzy lata temu założyła i wciąż prowadzi fundację Niezłomni Sercem, która zajmuje się przede wszystkim pomocą osobom poszkodowanym przez wojnę w Ukrainie. Do udziału w patronacie zgłosiła się bez wahania.

– To sensowny projekt. My tych ludzi wciągamy w ten sposób w nasze społeczeństwo, a oni przecież mogą bardzo dużo wnieść. Często mówimy, ile pieniędzy Polska przekazała Ukrainie, ale o tym, że Ukraińcy legalnie tu pracujący już dawno tę sumę spłacili w podatkach, a teraz na nich tylko zarabiamy – jest cisza. Hejt, jaki podsycają niektórzy politycy, nie służy nikomu.

Śmiesz mi, kiedy spotykam Polaków, którzy chcą wyrzucić imigrantów, a sami mają rodziców, rodzeństwo, którzy siedzą za granicą i tam są imigrantami.

Trafiła do grupy razem z Wiktoria, Marysią, Nataszą i Daną; razem otoczyły wsparciem Olę Dubovik. Ola, samodzielna matka 10-letniej Basi, pracuje jako opiekunka osoby starszej.

– Co mi dał udział w patronacie? Oparcie. - mówi Ola. - To było niesamowite, że uwaga grupy była skierowana na mnie. „Czego potrzebujesz?” – zapytały. Byłam w szoku, bo wcześniej wszystko robiłam sama. Teraz mogę liczyć na kogoś jeszcze oprócz siebie.

– Ola to pracowita i obrotna dziewczyna. Szybko się tu ogarnęła – zrobiła szkołę opiekuna medycznego, znalazła pracę. Jest aktywna, ale łatwo daje się wykorzystywać. Umowa, którą podpisała z panem, u którego pracowała, była śmiechu warta. Nie została zgłoszona do urzędu pracy, nie miała ubezpieczenia, ale nie zdawała sobie z tego sprawy. Dopiero po naszej interwencji warunki umowy zostały poprawione. Teraz szykujemy z nią dokumenty do karty pobytu, bo we wrześniu kończy się specustawa o uchodźcach i nie wiadomo, co będzie dalej; chcemy ją

zabezpieczyć, żeby mogła tu zostać legalnie z dzieckiem.

Olga Dubovyk i Natalia Sztandera
Fot. Monika Redzisz



– Natalia bardzo mi w tym pomaga. Dużo jest prawników, którzy to robią, ale chcą za to nawet po 2 tysiące złotych. Mnie na to nie stać, jak ja mam 3 tysiące wypłaty i 800+ na córkę. Poza tym pomagam mamie i siostrze w Ukrainie i niepełnosprawnemu wujkowi. I jeszcze takiej jednej samotnej pani z Charkowa. Żyjemy od wypłaty do wypłaty.

– Ola każdemu pomoże, choćby sama nie miała... Od trzech lat wynajmuje pokój w mieszkaniu z innymi uchodźcami; zarabia zbyt mało, żeby wynająć mieszkanie. Ceny poszły w górę – za kawalerkę musiałaby zapłacić około 2 tysięcy złotych. Namawiamy ją do zmiany pracy; w tej chwili nie ma nawet najniższej krajowej, a jest na każde zawołanie. Czasem musi tam być nawet w nocy, a nie ma płaconych nocek. Ale boi się tej zmiany. Bo jeśli Basia nie idzie do szkoły, może ją zabrać ze sobą – mała siada sobie w kuchni przy stole i odrabia lekcje. Basia jest wspaniałą, ciepłą, kontaktową dziewczynką; po polsku mówi płynnie. Bardzo się zaprzyjaźniły z moją córką. Ciągłe słyszę: „Kiedy przyjdzie do nas Basia?”

– Ola ma małą wiarę w siebie. Z tyłu głowy cały czas ma to, że jest imigrantką, że nie zasługuje, że musi spłacić to, co dostała na początku – mówi Natalia. – Nigdy nie miała wsparcia. Jak jej partner się dowiedział, że będzie dziecko, zawiązał się. Jest sama z dzieckiem w obcym kraju. Dla mnie jest przykładem kobiecego heroizmu.

– Świdnica to mój dom. Na początku bardzo się bałam, że i tu przyjdzie wojna – mówi Ola. – Przez rok miałam pod łóżkiem naszykowaną walizkę i torbę z dokumentami, żeby w razie czego uciekać dalej, na zachód. Ale teraz swoją przyszłość i przyszłość

mojej córki widzę tutaj. Znam już miasto, znam ludzi. Zawsze mogę zadzwonić do Natalii, porozmawiać. Dziewczyny się mną zaopiekowały, uwierzyły we mnie, więc i ja zaczynam powoli wierzyć w siebie. Mam tyle planów! Chcę się dalej uczyć i zajmować osobami niepełnosprawnymi.

DOM SĄSIEDZKI

W Domu Sąsiedzkim w Kaliszu stoi maszyna do szycia. Nadia przychodzi tu czasem coś sobie uszyć, „zrobić coś dobrego, i dla użytku, i dla duszy”, jak mówi.

Nadia Virych ma 66 lat; w Ukrainie pracowała jako szwaczka, w centrali telefonicznej, a także jako nauczycielka religii w niedzielnej szkółce dla dzieci. Jest samotna, mieszka w ośrodku Orionistów, do którego trafili uchodźcy po wybuchu wojny. Nie musi za niego płacić, ale wyżywienie chyba pozostawia wiele do życzenia, bo w pewnym momencie zaczęła mdleć; badania wykazały niski poziom żelaza. Odbierała co prawda co miesiąc swoją ukraińską emeryturę, ale to jedynie około 300 zł.

Pomaga jej druga ekipa patronatu społecznego, a w nim Irena Szaustruk, Białorusinka polskiego pochodzenia.

– Kiedy usłyszałam o patronacie, pomyślałam, że świetnie się do tego nadaję. Ja też jestem imigrantką, choć z polskimi korzeniami. Ja też musiałam tu sobie życie poukładać od nowa.

Dobrze wiem, jakim stresem jest imigracja; rzadko kto przeżywa ją bez psychicznego szwanku.

W Białorusi była inżynierem, przez 17 lat pracowała jako inspektor nadzoru.

– Wyjechaliśmy z powodów politycznych – mówi. – Długo myśleliśmy, że w końcu coś się zmieni, ale kiedy wybuchła wojna w Ukrainie – straciliśmy nadzieję. Wielu naszych znajomych przeszło przez więzienie. Moja koleżanka, matka piątki dzieci, za udział w protestach dostała wyrok sześciu lat więzienia. Ja też uczestniczyłam w mityngach, podpisywałam listy protestacyjne, mnie też mogli w każdej chwili zamknąć. „Kocham swoją ojczyznę, ale dzieci kocham bardziej” – pomyślałam. Podjęliśmy z mężem decyzję, że jedziemy do Polski, do rodziny. Zresztą dla mnie Polska i Białoruś to jakby dwoje rodziców. Zawsze lubiłam tu przyjeżdżać, uwielbiam mówić po polsku. Nasi chłopcy – Władek i Sławek – chodzili w Mińsku do szkoły języka polskiego. Tylko Staś był jeszcze za mały.

W Polsce wyszkoliła się na coacha. Pracuje jako coach kariery i rozwoju osobistego, ma tu swoją firmę. W ramach patronatu razem z Małgorzatą Wasilewską, Kamilą Wysocką-Nowak, Katarzyną Śmiecińską i Katarzyną Szulc jest w grupie wsparcia Nadii. Udało im się uzyskać dla niej wyrównanie do emerytury; teraz ma około 1000 zł miesięcznie i stać ją już na to, żeby dokupować sobie jedzenie. W toku jest sprawa mieszkania komunalnego; czekają na

decyzję. Załatwili bezpłatną naprawę pękniętej sztucznej szczęki i lekcje polskiego, a dziewczyny z grupy spotykały się z nią, żeby mogła dodatkowo ćwiczyć język.

– Robimy sobie burzę mózgow – opowiada Irena. – Każdy myśli, jak mógłby pomóc, jakie ma możliwości. Ale ważne, żeby jej nie wyręczać we wszystkim. Nadia sama nosiła do wojewody wnioski o mieszkanie, który wcześniej razem przygotowałyśmy. Nie chcemy traktować jej jak dziecko.

Chętnych do programu – zarówno patronów, patronki, jak i osoby wspierane – rekrutowała Kalina Michocka ze stowarzyszenia Multi.Art, koordynatorka programu w Kaliszu, która prowadzi Dom Sąsiedzki.



Kalina Michocka z Domu Sąsiedzkiego z Nadią i Ireną Fot. Monika Redzisz

– Pytaliśmy po prostu wszystkich, czy chcieliby wziąć udział w takim projekcie i czy znają kogoś, to potrzebowałby wsparcia. To wymagało odwagi i otwartości z obydwu stron. W końcu był to pilotaż, eksperyment; na dobrą sprawę nie było wiadomo, jak to będzie wyglądało i czym się skończy. Trzeba było zaufać, wpuścić kogoś do swojego życia bez gwarancji, że uda się coś razem osiągnąć. Część wolontariuszy już znałam, ale udało nam się wyjść z naszej bańki i zrekrutować nowe osoby. W patronacie mogą brać udział zwykli ludzie – niekoniecznie stare wygi, które mają już doświadczenie w pomaganiu.

Szkolenie trwało cały dzień.

– Daliśmy im przestrzeń, żeby mogli wypowiedzieć wszystkie obawy na głos. Niektórzy mówili: „Nie wiem, czy podołam, czy nie wzięłam na siebie za dużo”. Starłam się podkreślać, że cały czas będę dla nich dostępna – jeśli będzie jakikolwiek kłopot, obawa, wątpliwość i chęć przegadania – mogą do mnie przyjść, że będziemy ich wspierać. W patronacie nie szukamy ekspertów; jeśli zdiagnozujemy problem, który wymaga eksperckiego doradztwa, to my, jako instytucja koordynująca, szukamy ekspertów i kontaktujemy z nimi grupę. Czasem wystarczą lokalne instytucje typu MOPS czy Centrum Integracji Cudzoziemców. Jeśli nie,

prosimy o pomoc którąś z zaprzyjaźnionych organizacji.

– Zresztą zazwyczaj okazuje się, że na każdą potrzebę można odpowiedzieć – dodaje Marta Białek-Graczyk. – Nawet jeżeli w naszej grupie nie ma osoby kompetentnej, to zaraz okazuje się, że ktoś z nas ma siostrę, koleżankę, sąsiadkę, która jest kompetentna. Tak działa sieć społeczna. Patronat jest o koordynacji tego, co już jest – o tym, jak korzystać z dostępnych rozwiązań.

WYZWANIA

Najmłodszą patronką jest Weronika Świsłowska. Ma 22 lata. Do Kalisza przyjechała na studia z Łodzi; robi właśnie licencjat z logistyki.

– Biorę przykład z mojej mamy! Ona ma w sobie dobra aż nadto, dla wszystkich ma serce. Pomaga, mimo że nie jest jej łatwo – jest samodzielną matką, a nas jest szóstka. Tak mnie wychowała.

„Po co mam być dobra dla ludzi, skoro mi się to w ogóle nie opłaca?” – buntowałam się, jak byłam młodsza. Ale mama zawsze mówiła, że to dobro kiedyś do mnie wróci, i to ze zdwojoną siłą.

Na drugim roku studiów zaczęło mi się trochę nudzić. Kalina spadła mi z nieba. Wpadła kiedyś jak burza na któreś z naszych zajęć.

„Zajmę wam 10 minut!” – powiedziała i ustawiła minutnik.

Opowiedziała o Domu Sąsiedzkim i że szuka wolontariuszy do nowego projektu. Jeszcze tego samego dnia podpisałyśmy umowę. Prawdę mówiąc, nie robiło mi to różnicy, czy to będą przedszkolaki, czy seniorzy, imigranci czy Polacy. Może to brzmi trochę egoistycznie, ale ja chciałam się po prostu czymś zająć, a jednocześnie zrobić coś dobrego. Zaraz zadzwoniłam do mamy i się pochwaliłam. Była zachwycona, że mam takie dobre serce; aż mi się głupio zrobiło, bo ja się tu za dużo nie poświęcam.

Przychodzę tylko raz w tygodniu. Ale czuję się taka podbudowana, że robię coś dobrego. Jeśli mam akurat sesję czy inne zobowiązania – proszę innych z grupy, żeby mnie zastąpili.



Weronika Świsłowska
Fot: Monika Redzisz

Trafiła do grupy z Tomaszem Wysogładem i Zhanną Totską. Mieli

wziąć pod swoje skrzydła Irę, Ukrainkę, która razem z dwójką dzieci mieszkała w ośrodku dla uchodźców i pracowała jako opiekunka.

– Spotykałyśmy się raz w tygodniu, żeby rozmawiać po polsku. Wszyscy weszliśmy w to z taką bardzo pozytywną energią. Ale trafiliśmy na twarde orzechy do zgryzienia, bo Ira chciała tylko, żebyśmy jej dzieciom znaleźli zajęcia dodatkowe – chłopcom z piłki nożnej, córce z malowania. A myśmy proponowali, że złożymy wnioski do miasta o mieszkanie komunalne. Nie chciała. Namawialiśmy ją na zmianę pracy; była z wykształcenia księgową, mogłaby mieć dużo lepszą pracę. Nie chciała. W pewnym momencie przestała odbierać od nas telefony. To było dla nas trudne. Czy coś zrobiliśmy źle? Daliśmy z siebie za mało? Albo wręcz przeciwnie – za dużo oczekiwaliśmy i ją to przygniotło? No i to poczucie, że nie domknęliśmy zadania. Nie mamy takiej satysfakcji jak inne grupy.

Ale Kalina mi powiedziała: „Weronika, to praca z drugim człowiekiem, a człowiek nigdy nie jest do końca przewidywalny. Nie możemy zakładać, że zrealizujemy to, co sobie założyliśmy. To Ira wyznacza granice; my jesteśmy tu dla niej, a nie odwrotnie”. To dla mnie ważna nauka życiowa.

PATRONKA MARTA

Pięcioletnia Zoe rzuca jej się na szyję, ściska i obcałowuje. – Widzisz, jakie ja mam szczęście? – śmieje się Marta Bielan, adwokatka i mediatorka, która na co dzień pracuje jako prawniczka w dużej firmie odzieżowej. – Mam do czynienia z tak radosną, ciepłą i otwartą rodziną, że nie sposób się z nimi nie zaprzyjaźnić!

Dlaczego zdecydowała się na udział w patronacie?

– Myślę, że motywacje zawsze są dwojakiego rodzaju: te egoistyczne i altruistyczne. Z jednej strony miałam motywację językową – nie pracowałam nigdy w języku angielskim i trochę mi się ten język zakurzył; to była dla mnie okazja, żeby wyjść ze strefy komfortu i zmusić się do praktykowania. Miałam na to przestrzeń, bo właśnie rozstałam się z partnerem, a moje córki są już nastolatkami i nie wymagają ode mnie tyle uwagi, co dawniej.

Z drugiej strony chciałam robić coś dobrego. Przez większość swojego życia zawodowego zajmowałam się sprawami cywilnymi, głównie rodzinnymi; miałam do czynienia z rozwiązywaniem problemów ludzi w trudnych sytuacjach. Odkąd przeniosłam się do biznesu, trochę mi tego brakuje. Chciałam też dołożyć swoją cegiełkę do wsparcia grupy, która ma nielekkko w Polsce. Narracja dotycząca migrantów i uchodźców w ciągu ostatnich lat tak bardzo się zmieniła w negatywną stronę, że pojawia się we mnie sprzeciw.

(To moja forma oporu wobec tego, co się dzieje.

Razem z Ewą Kołecką, Małgorzatą Kraszkiewicz i Mają Walczak zaczęły wspierać wenezuelsko-argentyńską rodzinę, która od

trzech lat mieszka w Kaliszu.

– Miałam w Wenezueli pracę, pracowałam jako konsultantka imigracyjna, ale to nie wystarczało, żeby utrzymać rodzinę – opowiada Maria Virginia Velasco Jiménez, w skrócie Mavi. Wyjechała z synem do Argentyny, gdzie poznała swojego obecnego męża Roberto Quinterosa. Pobrali się, urodziła się im córka. Ale zaczęła się pandemia i Roberto, który pracował w restauracji, został bez pracy.

– Ktoś z naszych przyjaciół powiedział nam, że w Polsce jest praca w fabryce... To był szalony pomysł, ale zdecydowaliśmy się. Myśleliśmy, że trochę tu popracujemy i pojedziemy do Francji, bo tam mieszka moja siostra, albo do Hiszpanii, ze względu na język. Po trzech miesiącach w Kaliszu pomyśleliśmy, że chyba zostaniemy tu trochę dłużej, niż planowaliśmy, a po sześciu – że zostaniemy tu na stałe. Na początku Polacy wydawali nam się zamknięci, ale potem odkryliśmy, że kiedy już kogoś poznają – otwierają swoje serca na oścież. Znaleźliśmy tu prawdziwych przyjaciół.

Roberto wciąż pracuje w fabryce, na produkcji, Mavi dostała pracę w firmie, która sprzedaje kosmetyki do krajów latynoamerykańskich. Wynajmują mieszkanie. Mavi uczy się języka, dzieci świetnie mówią już po polsku. Teo jest zapalonym piłkarzem, gra w klubie w Kaliszu.

– Chcieliby budować sobie tutaj życie. Oboje pracują, płacą podatki. Mavi chce założyć własną firmę, tworzyć miejsca pracy. Ale nie wiadomo, czy będą mogli zostać; cały czas żyją w niepewności – mówi Marta.

Największym problemem jest legalizacja pobytu. Ich wniosek był wielokrotnie odrzucany ze względów formalnych.

– Mavi robiła wiele, żeby wszystko było dopilnowane. Chodziła wielokrotnie do wydziału do spraw cudzoziemców w Kaliszu, w terminie składała wszystkie wnioski. Ale komunikacja w języku angielskim w urzędzie jest trudna. Sprawy urzędowe są trudne nawet dla Polaków, kiedy więc dodatkowo się pojawia bariera językowa, człowiek jest bezradny. Nie miała nikogo, kto by jej pomógł, i sprawy się trochę pogmatwały – mówi Marta.



Marta Bielan z Zoe i jej mamą
Mavi
Fot. Monika Redzisz

Po raz pierwszy pomyliła się przy wpisywaniu adresu, bo w Wenezueli inaczej oznacza się numerację w adresach, w związku z czym nie odebrali wezwania do uzupełnienia braków formalnych. Po raz drugi mieli uzupełnić braki w ciągu 14 dni. Mavi próbowała umówić się do urzędu, żeby wyjaśnić niejasny dla niej powód wezwania, ale najbliższy termin był za trzy tygodnie i nie zdążyła.

– Marta bardzo mi pomaga – mówi Mavi. – W Wenezueli zajmowałam się imigrantami, ale na polskim prawie się nie znam. Mój polski jest bardzo słaby; kiedy muszę porozmawiać z nauczycielką mojej córki czy znaleźć szkołę sportową dla syna, mam problem. Zupełnie nie rozumiem systemu rekrutacji do szkół... A mój mąż zna tylko hiszpański, więc wszystko jest na mojej głowie. Póki nie pojawiła się Marta, z nerwów w nocy nie mogłam spać. Byłam zupełnie zagubiona.

– Nie wyobrażam sobie, że po zakończeniu projektu odwrócimy się od nich na pięcie, mowy nie ma – mówi Marta. – Myślę, że w ogóle patronat ma na celu nie tylko pomoc w konkretnych sprawach, ale też zbudowanie sieci kontaktów społecznych. Kiedy ich kot zachorował w sobotę wieczorem, nie mieli pojęcia, jak znaleźć weterynarza. A ja miałam znajomą, która zajmowała się zwierzętami w schronisku i dzięki niej udało mi się znaleźć weterynarza. To jest właśnie ta różnica – ja wiedziałam, do kogo mogę się zwrócić z pytaniem, a oni byli bezradni.

KONIECZNOŚĆ

– W wysokich partiach naszej przestrzeni publicznej wokół tematu uchodźców trwa burza; wystarczy jednak zejść niżej, do lokalnych społeczności, spotkać konkretnych ludzi i wszystko staje się prostsze – mówi Marta Białek-Graczyk. – Lęk przed obcymi jest rzeczą naturalną, ale dziś jest on specjalnie podsycany. Towarzyszy temu fałszywe przekonanie, że możemy narastającą falę migracji zatrzymać, okopać się, zamknąć. A przecież procesy migracyjne to zjawiska większe od naszego chcenia.

To się będzie działo. Pytanie, co z tym zrobimy? Czy zamkniemy oczy jak małe dziecko i będziemy udawać, że tego nie ma? Czy jednak uznamy, że musimy oswoić się z tematem? Nasze społeczeństwo też ma w tym swój interes.

Te osoby mają wyjść z tego projektu wzmocnione, gotowe do samodzielnego życia. To jest misja naszej organizacji: żeby

osobom w drodze było trochę łatwiej, ale także, żebyśmy my, [Polki](#) i Polacy, nauczyli się z nimi żyć. Bo taka jest konieczność dziejowa.

Ośrodek Badań nad Migracjami w lutym tego roku przeprowadził badanie, czy społeczeństwo polskie jest gotowe na taki model.

Pierwsze pytanie: „W niektórych krajach istnieją programy prywatnego wspierania uchodźców łączące pomoc państwową z zaangażowaniem obywateli. Państwo gwarantuje w nich uchodźcom dostęp do usług, a prywatne osoby przez kilka, kilkanaście miesięcy zobowiązują się dobrowolnie i nieodpłatnie wspierać uchodźców w załatwianiu formalności, nauce, znalezieniu pracy i mieszkania. Czy Polska powinna wprowadzić podobny program?” Na „tak” jest 30 proc. badanych.

Drugie pytanie: „Czy rozważałby pan/rozważałaby pani wzięcie udziału w takim programie?” Tu na „tak” jest 36 proc.

Z kolei według raportu z badań More in Common „Między niepokojem a życzliwością. Polki i Polacy wobec migracji” z tego roku pomysł objęcia uchodźców opieką wolontariuszy, którzy pomagaliby im w odnalezieniu się w nowej rzeczywistości po przyjeździe do Polski, cieszy się wysokim poparciem: aż 60 proc. respondentów ocenia tę propozycję pozytywnie, a tylko 21 proc. – negatywnie.

„Polki i Polacy nie tylko licznie deklarują gotowość poparcia działań na rzecz niesienia pomocy uchodźcom, ale także otwartość na osobiste zaangażowanie w takie inicjatywy. (...) 32 proc. badanych wyobraża sobie zaangażowanie się na rzecz uchodźców na co dzień w przyszłości. (...) Te deklaracje pokazują, że w polskim społeczeństwie drzemie potencjał na aktywny udział w procesach integracyjnych – nie tylko w okresach masowych zrywów, jak miało to miejsce po rosyjskiej inwazji na Ukrainę w 2022 roku, lecz także w sposób bardziej ciągły. Przede wszystkim (...) w zrozumieniu polskiej kultury i zwyczajów, nauce języka, załatwianiu spraw urzędowych oraz poszukiwaniu pracy” – czytamy.